

Warszawa, 27. 08. 2019

Maciej Wojtyszko

Recenzja pracy habilitacyjnej oraz dorobku artystycznego i dydaktycznego dr. Beaty Dzianowicz w związku z postępowaniem o nadanie stopnia doktora habilitowanego w dziedzinie sztuki filmowej.

Autoreferat pani Beaty był dla mnie jedną z najsympatyczniejszych lektur ostatnich kilku lat.

Czytam dużo autoreferatów, ponieważ - jak wiadomo - jest to element obowiązkowy w przypadku kolejnych awansów dydaktyków w szkołach artystycznych, a taki rodzaj prawie dowolnej wypowiedzi artysty na własny temat to przecież także rodzaj autokreacji.

Autokreacji często fascynującej, czasami zaprawionej dużą dozą megalomanii lub samooszukiwania.

Często ta autodiagnoza jest dosyć powierzchowna i da się porównać do wypowiedzi nieco zropaczonego słowika, który pierwszy raz zadaje sobie pytanie, dlaczego śpiewa.

W przypadku pracy pani Beaty największe wrażenie wywarł na mnie fakt, że jest to znakomita, dojrzała i szczerza wypowiedź autodydaktyka.

W końcowej fazie tekstu autorka przyznaje się do swojej, odziedziczonej po przodkach, pasji dydaktycznej i ta znakomita praca staje się nagle zupełnie zrozumiała i harmonijna.

Beata Dzianowicz ma talent do bycia nauczycielką i ma świadomość posiadania tego talentu.

Jej relacja o tym, w jaki sposób doskonalili studentów reżyserii na warsztatach filmu dokumentalnego, może posłużyć za przykład dla wszystkich, którzy zamierzają przekazywać swoje umiejętności reżyserskie innym.

To mądre i twórcze podejście do niezwykle złożonego procesu kształtowania przyszłego reżysera, podejście tyleż istotne co wymagające wyjątkowej ostrożności.

Pani Beata ma świadomość zagrożeń i przedstawia swoje doświadczenia jako coś, co można określić mianem „procesu modyfikowanego”.

Sądzę, że studenci mają szczęście trafiając już na pierwszych latach studiów na tak rzetelną i empatyczną nauczycielkę zawodu reżysera.

Już samo to, w jaki sposób pani Beata Dzianowicz relacjonuje swoje doświadczenia jako wykładowcy przedmiotu pt.: „Film dokumentalny”, pozwala wyrobić sobie zdanie na temat użyteczności stosowanych przez nią metod.

Łączenie teorii z praktyką, ostrożne poszukiwanie efektu końcowego, ćwiczenie czujności i wrażliwości obserwatora na detale, wreszcie pilnowanie spójności przekazu - to najważniejsze elementy tych imponujących zajęć.

W mojej ocenie zajęć zasługujących na najwyższe uznanie.

Dorobek pani Beaty jako reżyserki filmów dokumentalnych jest znaczący i niewątpliwy.

Już po otrzymaniu doktoratu zrealizowała dokument „Łopuszna”, który w swoim założeniu portretuje środowisko, jakie ukształtowało księdza i filozofa Józefa Tischnera.

Jak twierdzi sama autorka, film na początku miał być rodzajem notacji, mozaiką portretów ludzi, którzy zostali ukształtowani przez określone miejsce, tradycję i kulturę.

Przekształcił się w poruszającą ale i niezwykle mądrą pochwałę prostoty.

Oczywiście przesłanie całości tego dzieła rodzi się powoli i jest również bardzo trafnym ujawnieniem korzeni filozofii Tischnera.

Humanizm tischnerowski to przecież jedna z piękniejszych kart polskiej kultury, a jego źródła są chyba równie istotne dla poglądów filozofa jak pruski Królewiec dla prac Emanuela Kanta. Nie chcę przez to powiedzieć, że Kant lub Tischner nie byli w swoim myśleniu autonomiczni, pragnę jedynie podkreślić, że z uznaniem przyjmuję ten rodzaj analitycznego podejścia do gleby, na której rodzi się myśl ludzka.

Tak się zresztą składa, że przynajmniej dwie osoby ważne w życiu i twórczości Beaty Dzianowicz odegrały znaczącą rolę także w moim życiu.

Pierwszą jest ksiądz Tischner, którego wypowiedź kończy mój jedyny film dokumentalny „Moment”.

Drugą znakomita montażystka Katarzyna Maciejko-Kowalczyk, której pani Beata poświęciła swoją pracę doktorską, a z którą miałem szczęście spotkać się na początku mojej drogi zawodowej.



Żałuję, że nie miałem okazji przeczytać tej pracy ale nie wątpię, że charakterystyczna uważność Katarzyny Maciejko stała się tym elementem pracy montażysty, o którym pani Beata rozmawia ze swoimi studentami.

Następną pracą Beaty Dzianowicz po otrzymaniu doktoratu, tym razem fabularnym teatrem telewizji był „Koncert życzeń”. Życzliwe przyjęcie tego spektaklu, nagrody dla aktorek na festiwalu „Dwa teatry”, wreszcie niewątpliwa jakość artystyczna przedsięwzięcia dowiodły, że pani Beata sprawnie przeniosła się ze świata filmu dokumentalnego do świata fikcji fabularnej.

Nie jest to wbrew pozorom granica łatwa do przekroczenia i znamy wiele przypadków, kiedy próby tego typu kończyły się efektem połowicznym.

Zapewne słusznie autorka dużą część sukcesu przypisuje swoim trwałym związkom z teatrem i reżyserowaniem etiud teatralnych.

Spektakl, choć kameralny, przykuwa uwagę widza wzajemnymi napięciami pomiędzy postaciami i w pełni zamierzoną „efektowną nieefektywnością”.

Wyznanie pani Beaty w autoreferacie dotyczące zaskakującej swobody, jaką daje kreowanie rzeczywistości fikcyjnej, jest naturalnie szczere i prawdziwe ale też widać dokładnie, że pani reżyser jest świadoma, iż w sztuce im więcej wolności tym więcej koniecznych wewnętrznych ograniczeń.

Trochę tak jak z tworzeniem wiersza białego - nie ma rymów ale to nie znaczy, że twórca ma pełną swobodę.

Wreszcie, po latach rozmaitych doświadczeń, pani reżyser realizuje film fabularny „Odnajdę cię”.

Oczywistą podstawę do otrzymania zasłużonej habilitacji.

Pytanie, dlaczego sukces tego filmu jest połowiczny, sama autorka diagnozuje właściwie i z należywym zrozumieniem.

Mamy bowiem do czynienia z klasycznym napięciem, którego efektów doświadczają prawie wszyscy ambitni twórcy nie chcący powielać tradycyjnych schematów.

Dystrybutor pyta: „Na jaką półkę ma trafić ten film?” A reżyser myśli: „Na półkę z napisem *kino tego autora*”.

Film pani Beaty jest poruszającą, często dowcipną opowieścią o losach kobiety, opowieścią mieszczącą się w granicach realizmu i bardzo spójną zarówno jeśli chodzi o przesłanie jak i o zastosowaną formę.

Jednak w tej opowieści dystrybutor chciałby zapewne więcej elementów kina akcji, a reżyserowi (w mojej ocenie słusznie) wystarcza gorzka prawda o losie współczesnej „silnej” kobiety.

„Silnej” mimo wszystko w cudzysłowie.

Znakomita jest na przykład scena „rozwodowa”, gdzie bohaterka ustala z odchodzącym partnerem, ile mają wynosić alimenty.

To oczywiście świetny przykład kina obyczajowego, średnio pasujący do hasła reklamowego „24 godziny na odnalezienie córki” .

Naturalnie hasło: „Cholera, jak żyć?” jest mniej nośne komercyjnie ale dużo lepiej oddaje sens tego niezwykle interesującego filmu.

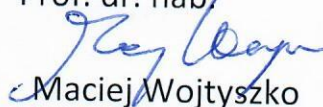
Bardzo wysoko oceniam grę całego zespołu aktorskiego na czele z Ewą Kaim i jednorodność wykreowanej w filmie rzeczywistości.

Pani Beata, opisując rodzenie się filmu, robi swoisty rachunek sumienia i myślę, że na najwyższe uznanie zasługują wnioski, jakie wyciąga z tej przygody.

Wierzę, że ktoś, kto tak celnie potrafi dostrzec źródła zarówno swoich sukcesów jak i niepowodzeń, jest na najlepszej drodze do kolejnych zwycięstw. Jednocześnie nie mam wątpliwości, że jako wyjątkowo doświadczony dydaktyk jest pani Beata Działowicz kimś cennym i potrzebnym dla każdej uczelni artystycznej.

Z pełnym przekonaniem stwierdzam, że pani Beata Działowicz spełnia warunki ustawy z dnia 14 marca 2003 roku (z późn. uzup. z 2017 poz. 1789) i wnioskuję o nadanie jej stopnia doktora habilitowanego sztuki filmowej.

Prof. dr. hab.



Maciej Wojtyśzko